Herman Melville

Taipi

Obrazki z życia Polinezyjczyków

Przełożył Bronisław Zieliński

Posłowie Mikołaj Wiśniewski

Państwowy Instytut Wydawniczy

Rozdział I

MORZE – TĘSKNOTA ZA WYBRZEŻEM – STATEK ZŁAKNIONY LĄDU – CEL PODRÓŻY – MARKIZY – PRZYGODA ŻONY MISJONARZA WŚRÓD DZIKICH – CHARAKTERYSTYCZNA ANEGDOTA O KRÓLOWEJ NUKU HIVY

Sześć miesięcy na morzu! Tak, czytelniku, jako żywo, sześć miesięcy nieoglądania lądu, krążenia za kaszalotami pod piekącym słońcem równika, na rozhuśtanych falach bezmiernego Pacyfiku! Już przed wieloma tygodniami wyczerpał się wszystek nasz świeży prowiant. Nie został ani jeden patat, ani jeden yam. Wspaniałe pęki bananów, co niegdyś ozdabiały naszą rufę i pokład szańcowy, niestety zniknęły, a pyszne pomarańcze, które wisiały u topów masztów i u want, także przepadły bez śladu! Tak, wszystkiego tego już nie ma i nie zostało nam nic oprócz solonej wołowiny i sucharów. O, wy, kajutowi żeglarze, którzy czynicie tyle hałasu z powodu czternastodniowej przeprawy przez Atlantyk, którzy tak patetycznie opowiadacie o prywacjach i uciążliwościach morskiej podróży, kiedy to po całym dniu spożywania śniadań, obiadów i kolacji z pięciu dań, gwarzenia, gry w wista i picia ponczu szampanowego przypadał wam w udziale ten ciężki los, że zamknięci w małych pokoikach wykładanych mahoniem i klonem spaliście przez dziesięć godzin, nieniepokojeni przez nikogo prócz „tych nicponi, marynarzy, wrzeszczących i tupiących nad

głową" – cóż powiedzielibyście o sześciu miesiącach z dala od lądu?

Ach, co by się dało za ożywczy widok jednego źdźbła trawy – za możność powąchania garści iłowatej ziemi! Czyż nie ma wokół nas nic świeżego? Nie można ujrzeć nic zielonego? Owszem, wewnętrzna strona naszych burt pomalowana jest na zielono, ale jakiż to lichy i mdły kolor – jak gdyby nic, co bodaj przypomina zieleń, nie mogło rozkwitnąć tak niezmiernie daleko od lądu. Nawet korę, co niegdyś okrywała drewno używane przez nas na opał, obgryzł i pożarł wieprzek kapitana – i to tak dawno temu, że i sam wieprzek został z kolei pożarty.

W kojcu dla kur jest tylko jeden samotny lokator: niegdyś wesoły i żwawy młody kogut, co tak dzielnie sobie poczynał wpośród potulnych kwok. Ale spojrzyjcie nań teraz: oto stoi tam osowiały, przez cały dzień na tej swojej niezmordowanej jednej nodze. Odwraca się z niesmakiem od zapleśniałego ziarna, które ma przed sobą, i od słonawej wody w małym korytku. Opłakuje zapewne swe utracone towarzyszki, które dosłownie porywano mu jedną po drugiej i których już więcej nie zobaczył. Jednakże nieliczne będą dni jego żałoby, albowiem Mungo, nasz czarny kucharz, powiedział mi wczoraj, że w końcu dano hasło i los biednego Pedra jest przypieczętowany. Jego wynędzniałe ciało zostanie złożone w przyszłą niedzielę na stole kapitana i jeszcze na długo przed nocą pogrzebane ze zwykłymi ceremoniami pod kamizelką tego zacnego osobnika. Któż by uwierzył, że może być ktokolwiek tak okrutny, by marzyć o ścięciu nieszczęsnego Pedra; a jednak ci samolubni marynarze modlą się bez przerwy, by uczyniono koniec z tym nieszczęsnym ptakiem. Mówią, że kapitan za nic nie skieruje statku do lądu, póki

ma w perspektywie danie ze świeżego mięsa. Tylko ten biedny ptak może mu go dostarczyć, a kiedy wreszcie zostanie pożarty, kapitan się opamięta. Nie życzę ci źle, Piotrusiu, ale ponieważ jesteś skazany na to, by wcześniej czy później spotkał cię los twej rasy, oraz zważywszy, że położenie kresu twemu istnieniu ma być sygnałem do naszego wyzwolenia – cóż, prawdę rzekłszy, chciałbym, by ci poderżnięto gardło bodaj w tej chwili, bo – och, jakże pragnę zobaczyć znów żywą ziemię! Sam stary statek marzy, aby raz jeszcze spojrzeć na brzeg przez swoje kluzy kotwiczne, a Jack Lewis słusznie mówił przed kilku dniami, kiedy kapitan zganił jego sterowanie.

– Bo widzi pan, kapitanie Vangs – powiedział wtedy śmiały Jack – jestem jednym z najlepszych sterników, jacy kiedykolwiek przyłożyli rękę do szprych koła sterowego, ale żaden z nas nie potrafi teraz kierować tą starą krypą. Nie da się utrzymać jej pod wiatr; zawsze od niego odpadnie, choćby się nie wiem jak uważało. A kiedy, panie kapitanie, kładę mięciutko ster na burtę i próbuję łagodnie namówić ją do pracy, ona nie przyjmuje tego mile, tylko odpada znowu; a wszystko dlatego, iż wie, że ma ląd od zawietrznej, i za nic nie chce iść na nawietrzną.

No, tak – bo i dlaczego miałaby chcieć, Jack? Czyż każda z jej tęgich belek nie wyrosła na brzegu i czyż nie ma ona tej samej wrażliwości, co my?

Biedny stary statek! Sam jego wygląd zdradza owe pragnienia; jakże żałośnie się prezentuje! Farba na burtach, przepalona piekącym słońcem, jest spurchlona i popękana. Popatrzcie na te wodorosty, które statek włóczy za sobą, i na ten szpetny pęk obrzydłych skorupiaków, co obrósł jego rufę; ilekroć zaś kadłub

wzniesie się na fali, ukazuje blachy oddarte lub zwisające strzępiastymi płatami.

Biedny stary statek! Powtarzam raz jeszcze: przez sześć miesięcy kołatał się i kolebał bez jednej chwili spoczynku. Ale odwagi, staruszku; mam nadzieję niebawem cię ujrzeć o rzut sucharem od wesołego lądu, gdy będziesz przytulnie stał na kotwicy w jakiejś zielonej zatoczce, osłonięty od porywistych wiatrów.

– Hurra, chłopaki! Rzecz załatwiona: w przyszłym tygodniu bierzemy kurs na Markizy!

Markizy! Jakież przedziwne wizje rzeczy niezwykłych wywołuje sama ta nazwa! Nagie hurysy, kanibalskie uczty, gaje kokosowe, wytatuowani wodzowie i bambusowe świątynie; słoneczne doliny porośnięte drzewami chlebowymi, rzeźbione pirogi tańczące na roziskrzonych błękitnych wodach, dzikie puszcze strzeżone przez straszliwe bożki – pogańskie obrzędy oraz ofiary z ludzi. Takie były dziwnie mieszane przewidywania, które mnie nawiedzały podczas rejsu z obszaru łowisk. Czułem nieodpartą chęć zobaczenia tych wysp, które starodawni podróżnicy opisywali tak błyskotliwie.

Grupa wysp, ku której obecnie sterowaliśmy, aczkolwiek należy do najwcześniejszych odkryć europejskich na morzach południowych, jako że odwiedzono ją po raz pierwszy w roku 1595, jest nadal zamieszkiwana przez takie same dziwne i barbarzyńskie istoty jak dawniej. Misjonarze, wysłani ze świątobliwym zadaniem, przepływali obok tych pięknych wybrzeży i pozostawiali je bożkom z kamienia i drewna. W jakichże ciekawych okolicznościach wyspy te zostały odkryte! Na wodnym szlaku Mendañi[1] krążącego w poszukiwaniu jakichś złotodajnych obszarów wykwitły niczym zaczarowana wizja i przez chwilę ów Hiszpan

myślał, że spełniło się jego cudowne marzenie. Ku czci markiza de Mendoza, podówczas wicekróla Peru, pod którego protekcją pływał, nadał im nazwę oznaczającą godność jego opiekuna, a po powrocie przekazał światu mglistą i wspaniałą relację o ich pięknie. Jednakże wyspy nienawiedzane przez całe lata popadły znów w zapomnienie i dopiero niedawno dowiedziano się czegoś na ich temat. Raz na pół wieku jakiś awanturniczy wędrowiec zakłócał ich niezmącony spokój i zadziwiony niezwykłym widokiem był niemal skłonny rościć sobie prawo do nowego odkrycia.

O tej interesującej grupie mało co opowiedziano, jeżeli pominiemy drobną o niej wzmiankę w szkicach z podróży po morzach południowych. Cook podczas swych wielokrotnych wypraw morskich dokoła kuli ziemskiej zaledwie ocierał się o ich brzegi, i wszystko, co o nich wiemy, pochodzi z paru ogólnych relacji. Wśród nich są dwie zasługujące na szczególną uwagę: *Dziennik wyprawy fregaty Stanów Zjednoczonych «Essex» na Pacyfik podczas ostatniej wojny*, spisany przez Portera[2], zawiera podobno ciekawe szczegóły dotyczące wyspiarzy. Jest to wszelako dzieło, z którym nigdy się nie spotkałem; Stewart, kapelan amerykańskiego szlupu wojennego „Vincennes", również poświęcił temu tematowi część swojej książki, zatytułowanej *Wizyta na morzach południowych*.

W ciągu ostatnich paru lat statki amerykańskie i angielskie, biorące udział w masowych połowach wielorybów na Pacyfiku, zawijały czasem, kiedy zabrakło im żywności, do przestronnej przystani, która istnieje na jednej z tych wysp; jednakże obawa przed krajowcami, oparta na pamięci o strasznym losie, jaki spotkał z ich rąk wielu białych, powstrzymywała załogi od takiego obcowania z ludnością, które mogło-

by dać jakieś pojęcie o jej szczególnych zwyczajach i obyczajach.

Misje protestanckie najwyraźniej porzuciły nadzieję wyrwania tych wysp z pogaństwa. Sposób traktowania misjonarzy przez krajowców był we wszystkich przypadkach taki, że mógł zastraszyć nawet najśmielszych. Ellis w swoich *Badaniach polinezyjskich* podaje kilka interesujących relacji o nieudanych próbach misji z Tahiti utworzenia swoich placówek na niektórych wyspach z tej grupy. Na krótko przed moim przybyciem na Markizy zdarzył się tam w związku z owymi próbami dosyć zabawny incydent, którego nie mogę tu pominąć.

Pewien nieulękły misjonarz, bynajmniej nie zniechęcony niepowodzeniem, jakie towarzyszyło wszystkim poprzednim próbom zjednania dzikich, i wierząc mocno w skuteczność wpływu niewieściego, sprowadził między nich swą młodą i piękną żonę, pierwszą białą kobietę, która odwiedziła ich brzegi. Wyspiarze zrazu przypatrywali się z niemym zachwytem tak niezwykłemu zjawisku i byli skłonni uważać je za jakieś nowe bóstwo. Jednakże po krótkim czasie oswoiwszy się z uroczym widokiem owego bóstwa oraz niechętni fałdom tkaniny osłaniającej jego kształty, popróbowali przeniknąć poprzez uświęconą zasłonę z perkalu, która je spowijała, i w swojej ciekawości tak dalece przekroczyli granice dobrego wychowania, że urazili poczucie przystojności damy. Gdy wreszcie ustalili jej płeć, ich uwielbienie zmieniło się w pogardę; nie było końca zniewagom, jakimi obrzucili ją dzicy, rozwścieczeni rzekomym oszustwem, którym wyprowadzono ich w pole. Ku zgrozie czułego małżonka zdarto z niej szaty i dano do zrozumienia, że nie wolno jej więcej nosić bezkarnie takich zwodniczych osłonek.

Delikatna dama nie była dość ewangelicznie nastawiona, aby to ścierpieć, i bojąc się dalszych niestosowności, zmusiła męża do porzucenia całego przedsięwzięcia, po czym razem wrócili na Tahiti.

Natomiast nie wzdragała się tak przed ukazywaniem swych wdzięków sama wyspiarska królowa, nadobna małżonka Mowanny, króla Nuku Hivy. W jakieś dwa czy trzy lata po wydarzeniach opisanych w niniejszym tomie, znajdując się na pokładzie okrętu wojennego, przypłynąłem na owe wyspy. Od pewnego czasu mieli Markizy w swym posiadaniu Francuzi, którzy już się chełpili dobroczynnymi skutkami swej jurysdykcji, dostrzegalnymi w postępowaniu krajowców. Warto nadmienić, że w swoich wysiłkach reformatorskich wymordowali ich około stu pięćdziesięciu w Whitihoo – ale mniejsza o to. W czasie, o którym mowa, eskadra francuska zebrała się w zatoce Nuku Hivy i podczas rozmowy z naszym zacnym komandorem jeden z ich kapitanów zaproponował, abyśmy, jako okręt flagowy eskadry amerykańskiej, przyjęli uroczyście wizytę pary królewskiej. Oficer francuski wywodził, z widoczną satysfakcją, że pod ich kierownictwem król i królowa nasiąkli właściwymi pojęciami o swoim wysokim dostojeństwie i podczas wszystkich ceremonialnych okazji zachowują się z należytą godnością. Jakoż poczyniono przygotowania do przyjęcia ich królewskich mości na pokładzie w sposób odpowiadający ich randze.

Pewnego pięknego popołudnia dostrzeżono wesoło przystrojoną proporczykami szalupę odbijającą od burty jednej z fregat francuskich i płynącą prosto ku naszemu trapowi. Na jej rufie spoczywał Mowanna ze swoją małżonką. W miarę jak się zbliżali, czyniliśmy im wszelkie honory należne monarchom – marynarze

powdrapywali się na reje, daliśmy salut armatni i podnieśliśmy niesamowitą wrzawę.

Weszli po trapie, zostali powitani przez komandora z kapeluszem w ręku, kiedy zaś przechodzili przez pokład szańcowy, warta marynarska sprezentowała broń, a orkiestra zagrała *Króla wysp kanibalskich*. Dotąd wszystko szło dobrze. Oficerowie francuscy uśmiechali się i robili niezmiernie uradowane miny, ogromnie kontenci z godnego zachowania się tych znamienitych osobistości.

Wygląd ich niewątpliwie był obliczony na wywołanie wrażenia. Jego królewska mość miał na sobie przepyszny mundur wojskowy, sztywny od złotych galonów i haftów, a ogoloną głowę przykrywał mu olbrzymi *chapeau bras*, na którym powiewały strusie pióra. Wszelako była jedna drobna skaza na jego powierzchowności. Szeroki pas tatuażu przebiegał mu przez twarz na wysokości oczu, co sprawiało, że wyglądał tak, jakby nosił olbrzymie okulary ochronne, a osoba monarsza w okularach ochronnych nasuwa pewne niestosowne myśli. Jednakże krawcy floty francuskiej wykazali całą wesołość swego narodowego gustu dopiero w przystrojeniu nadobnej ciemnolicej królewskiej małżonki. Ubrana była w jaskrawoszkarłatną materię obszytą żółtym jedwabiem, która, sięgając nieco poniżej kolan, odsłaniała jej bose nogi, upiększone spiralnym tatuażem i przypominające nieco dwie miniaturowe kolumny Trajana. Na głowie miała fantazyjny turban z fiołkowego aksamitu, ozdobiony srebrnymi gałązkami oraz zwieńczony kitą z różnobarwnych piór.

Załoga okrętu, która stłoczyła się na schodni, aby podziwiać ten widok, wprędce zwróciła na siebie uwagę jej królewskiej mości. Ta upatrzyła sobie między

marynarzami starego wilka morskiego, którego obnażone ramiona, stopy oraz pierś pokryte były tyloma wykonanymi tuszem napisami, co wieko egipskiego sarkofagu. Nie bacząc na wszelkie nieśmiałe napomknięcia i protesty francuskich oficerów, królowa natychmiast podeszła do tego marynarza, rozchyliła mu szerzej na piersiach płócienną kurtkę, podciągnęła nogawice szerokich spodni i jęła oglądać z admiracją jaskrawy błękit i cynober tatuażu. Pochylała się nad marynarzem i gładząc go, wyrażała swój zachwyt przeróżnymi dzikimi okrzykami i gestami. Można sobie łatwo wyobrazić zmieszanie układnych Galów wobec tak nieprzewidzianego zdarzenia, ale pomyślcie tylko, jaka ich ogarnęła konsternacja, gdy nagle królewska dama, pragnąc pokazać hieroglify na własnym wdzięcznym ciele, pochyliła się na chwilę i obróciwszy się raptem, zadarła kraj swej szaty, ukazując widok, przed którym przerażeni Francuzi cofnęli się pośpiesznie i zeskoczywszy do szalupy, zemknęli z widowni tak okropnej katastrofy.

Rozdział II

REJS Z TERENÓW ŁOWISK NA MARKIZY – SENNE CHWILE NA STATKU – SCENERIA MÓRZ POŁUDNIOWYCH – ZIEMIA! – ZASTAJEMY ESKADRĘ FRANCUSKĄ NA KOTWICY W ZATOCE NUKU HIVY – OSOBLIWY PILOT – ESKORTA PIROG – FLOTYLLA ORZECHÓW KOKOSOWYCH – PŁYWAJĄCY GOŚCIE WDZIERAJĄ SIĘ NA POKŁAD „DOLLY" – STAN RZECZY, KTÓRY POTEM NASTĄPIŁ

Nigdy nie zapomnę tych osiemnastu czy dwudziestu dni, podczas których lekkie pasaty popychały nas cicho ku wyspom. W pogoni za kaszalotem krążyliśmy po równiku o jakieś dwadzieścia stopni na zachód od Galapagos i kiedy nasz kurs został ustalony, wystarczyło nam tylko zbrasować reje i trzymać statek z wiatrem, a reszty dokonywał już on sam wraz z równomiernym powiewem. Sternik nie naprzykrzał się naszej staruszce zbędnym manewrowaniem, ale oparłszy się wygodnie o rudel, drzemał całymi godzinami. Niezawodna „Dolly" trzymała się swego kursu i, podobnie jak ci ludzie, którzy sprawiają się najlepiej, gdy ich zostawić w spokoju, pomykała swą drogą niby stary, wysłużony, morski kłusak – którym istotnie była.

Jak rozkosznie, gnuśnie, sennie spędzaliśmy czas, sunąc tak po morzu! Nie było nic do roboty, która to okoliczność szczęśliwie odpowiadała naszej niechęci do robienia czegokolwiek. Opuściliśmy całkowicie forpik i rozpostarłszy płócienny daszek nad forkasz-